Rok 1898. Lwów, dnia 31. października. Nr. 43.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.



Nadaremno usta piękne
Rozchylacie się jak róże —
Waszym szeptom nie zawtórzę,
Przed urokiem nie uklęknę;
Coś urwało się, skonało,
W głębi serca, w duszy głębi —
Żar nie pali, chłód nie ziębi,
Szczęście wiało i przewiało.
Nadaremno usta piękne
Rozchylacie się jak róże —
Lubym szeptom nie zawtórzę,
Przed urokiem nie uklęknę.

Oczy czarne, łzą omglone,
W których świeci raju zorza,
Oczy-gwiazdy, oczy-morza,
W inną, w inną patrzcie stronę!
Błyskawicy strzałą złotą
Nie zbudzicie nic już w duszy,
Tylko ruin pył się ruszy,
Wichry schwycą go i zmiotą.
Oczy czarne, łzą omglone,
W których świeci raju zorza —
Oczy-gwiazdy, oczy-morza,
W inną, w inną patrzcie stronę!

Sercc drżące, wstrzymaj bicie —
Nie wywołasz ech wzywanych,
Nie zawrócisz pieśni zwianych
I wtłoczonych w grób — przez życie!
W chwilach wiary, w marzeń dobie,
Byłbym ogniem i płomieniem,
Drżenie każde wzmacniał drżeniem
I krwią serca w rytm bił tobie.
Serce drżące, wstrzymaj bicie —
Nie wywołasz ech wzywanych,
Nie zawrócisz pieśni zwianych
I wtłoczonych w grób — przez życie!

Głosie luby, miękki, rzewny,
Najpiękniejszy z pieśni świata —
W pustkę, w próżnię dźwięk twój wlata,
Gdzie nie zabrzmi ton pokrewny.
Darmo pieśnią grasz słowiczą,
Zgasłe wspomnień budzisz słońca:
Wyśpiewana pieśń do końca
Bólem jęknie i goryczą.
Głosie luby, miękki rzewny,
Najpiękniejszy z pieśni świata —
W pustkę, w próżnię dźwięk twój wlata,
Gdzie nie zabrzmi ton pokrewny!

Czuję smutek, ból nanowo,
Fala żalu o pierś trąca,
Że sen żaden z mar tysiąca
Krwią nie trysnął purpurową;
Że się gwiazdy nie promienią
Pośród śnieżnych burz zawiei,
Że uwiędły kwiat nadziei
Nie zakwita już jesienią.
Czuję smutek, ból nanowo,
Fala żalu o pierś trąca,
Że sen żaden z mar tysiąca
Krwią nie trysnął purpurową!

Kazimierz Gliński.

FR. ZWILKOŃSKI.

LAMPA ZGASŁA

Obraz dramatyczny.

Ciąg dalszy.

ŁANOWSKA. Już z jednym miałam taki pański krzyż, że nie mogłabym się patrzyć na drugiego!..

WÓJCICKI (z niepokojem). Nie?

ŁANOWSKA. Za żadne w świecie pieniądze!.. Chociażby był piękny jak bożek... bogaty jak Krezus... a zakochany we mnie jak Romeo w Julji!..

WÓJCICKI (nieśmiało). Tak, lecz prawdę mówiąc, pani dobrodziejka mogłaby jeszcze wyjść powtórnie za mąż, bo to i wiek i uroda...

ŁANOWSKA (z udanem obruszeniem). Proszę mi takich rzeczy nie mówić!.. (rzucając ukradkiem spojrzenie w lustro) Jestem już zupełnie stara!

WÓJCICKI. Stara?!.. Pani wygląda jak starsza siostra swej córki.

ŁANOWSKA (z uśmiechem). Co też pan mówi! To niedorzeczność!..

WÓJCICKI. Słowo daję.

ŁANOWSKA. Zwykłe komplimenta!.. (szybko) Wie pan, ile mam lat?

WÓJCICKI. A no... Więcej nie dałbym pani — jak —

ŁANOWSKA. Czy też pan zgadnie?

WÓJCICKI. Może trzydzieści dziewięć, a może...

ŁANOWSKA. Co?? — Mój panie!.. Skończyłam trzydzieści osm!..

WÓJCICKI (szybko). A, to ja panią dobrodziejkę bardzo przepraszam!.. (całując ją w rękę). Tak sobie pomyślałem: trzydzieści ośm, pięć — nie wiem, czemu powiedziałem trzydzieści dziewięć.

ŁANOWSKA. Przed kwartałem skończyłam trzydzieści ośm...

WÓJCICKI. Przed kwartałem —

ŁANOWSKA (z westchnieniem). Niestety...

WÓJCICKI (kaszle).

ŁANOWSKA. Pan jeszcze kaszle!

WÓJCICKI. Czasem... Trochę... (zbliżając się do niej). Najlepsza pani... doprawdy... (ze złożonemi rękami) Nie mam słów — tyle już doznałem dowodów dobroci, że doprawdy...

ŁANOWSKA (z niepokojem). O co panu chodzi?...

WÓJCICKI (biorąc ją za rękę). Pani, naprawdę... pani, na serjo...

ŁANOWSKA. Co?

WÓJCICKI. Chce mnie pani swatać?

ŁANOWSKA (usuwając rękę). Zupełnie na serjo.

WÓJCICKI (z wzrastającem wzruszeniem). Pani dobrodziejko moja... pani przynosisz mi słońce... ciepło... życie!.. O mój Boże!.. Widzisz pani — ja już tak we wszystko zwątpiłem!.. Nie mnie już marzyć o szczęściu!.. o rodzinie!.. o wiośnie!.. o tem wszystkiem, do czego wzdycha ludzka dusza!.. Mnie już — (pokazując) ot, z tych czterech pustych i ponurych ścian — tam — na cmentarz — dokąd poczciwi odprowadzają, ale skąd się już nie wraca... (z pewną nadzieją) A tu — pani przychodzisz do mnie i powiadasz, że jeszcze nie wszystko skończone, że jeszcze dla mnie słońce złoci świat, drzewa zielenieją, ptaki śpiewają, że nie jestem jeszcze stary... że nie na próżno pracowałem i oszczędzałem przez tyle lat!.. Pani, pani droga, pani da mi kogoś takiego, co mnie będzie kochał, w chorobie pielęgnował, dbał o mnie... naprawdę?.. naprawdę?..

ŁANOWSKA. Przecież jestem panu życzliwa!... Nie swatałabym pana z pierwszą lepszą!

WÓJCICKI (z przejęciem). A, pani łaskawa!... (z wzrastającą gorączką). Proszę, proszę... (wyjmując z pod poduszki klucze). Zaraz pani pokażę... (otwiera biurko). Nie jestem taki biedny... (wyjmuje papiery) Mam ładną pensję — tu list na papiery wartościowe, które mam w banku, tu dwie książeczki kasy oszczędności...

ŁANOWSKA. Po co mi pan to wszystko pokazuje?

WÓJCICKI. Aby pani wiedziała, że nie jestem hołyszem...

ŁANOWSKA. Wcale nie jestem ciekawa... Niech pan zamknie biurko!

WÓJCICKI (czyniąc to). Pani droga!... (po chwili ze smutkiem). Ot, moje życie nie było usłane różami.. (wstając od biurka). Zawsze sam, sam... Nie żyłem dla nikogo — dla mnie nikt nie żył... Jak ten ślimak w skorupie... (spostrzegłszy, że p. Ł. ociera chusteczką oczy) Pani płacze?..

ŁANOWSKA. Zrobiło mi się żal pana.

WÓJCICKI. Droga pani!... Dziękuję, o dziękuję pani za te łzy współczucia!... To najlepszy dowód sympatji i dobroci dla mnie!... (całuje ją po rękach).

ŁANOWSKA (po chwili, siadając z westchnieniem). Mój panie — i moje życie szło jak po grudzie... Pańska niedola przypomniała mi moją... Tak mnie z rodziną, jak panu bez niej, tylko może mniej smutno... Czemu pan stoi?...

WÓJCICKI (podnosi laskę i siada).

JAN (wchodząc). Przyszedłem po samowar... (zabiera samowar z pod pieca i wychodzi).

WÓJCICKI (patrzy na p. Ł. wzrokiem pytającym).

ŁANOWSKA. Czekałam, aż ten gałgan wyjdzie!.. Bo to zaraz podsłuchuje, a potem z tego plotki w całej kamienicy... A tak... kochany panie, i mnie niedola... Ot, dwie córki, jedna ma lat dziewiętnaście, druga szesnaście, — tak prawdę powiedziawszy, obie mają więcej, ale dla świata — niech pan nie powtarza... Syn skończył lat czternaście, a tu pensja wdowia — pan wiesz, mizerna — prawda?... Trudno koniec z końcem związać... Czasem jestem — powiadam panu — bliska rozpaczy!... Za kogo wydam córki? Kto weźmie biedne dziewczęta? Co będzie z syna?... i tak od rana do wieczora: troska, troska i troska...

WÓJCICKI (potakując smutnie). Tak, tak... Nie ma szczęścia na świecie!

ŁANOWSKA (machnąwszy ręką). Ktoby tam o szczęściu marzył!

WÓJCICKI (z westchnieniem). Szczęście, to sen...

ŁANOWSKA. Jak długo jest się młodym, to się tam śni... ale później, wszystkie te piękne sny odlatują, jak jaskółki do cieplejszych krajów, ot, i pozostają: trud, troska i bieda...

WÓJCICKI. Wspomnienia coś warte...

ŁANOWSKA. Myślisz pan, że warte?... (z ironicznym uśmiechem). Śmiej się pan z tego!... Co mi potem, że byłam kiedyś młodą i piękną... Niech się pan dowie — byłam bardzo piękną!... (wzruszając ramionami) Co mi po tem?... Co mi kto da za to?...

WÓJCICKI (kaszle).

ŁANOWSKA. O, pan znów kaszle!

WÓJCICKI. To tak, czasem... (wstaje i idzie do kredensu).

ŁANOWSKA. Czemu pan wstaje?... Zaraz panu podam szklankę wody... (idąc do kredensu) Na to tutaj jestem, aby panu usłużyć.

WÓJCICKI. O, droga pani!

ŁANOWSKA (podając mu szklankę wody). Proszę pana... Doktór był?

WÓJCICKI. Dziś go nie było. Kiedyś tu był — przedwczoraj... (pije).

ŁANOWSKA. Już się go pan dziś nie spodziewa?

WÓJCICKI (stawiając szklankę na stole). Być może, że przyjdzie... Przychodzi zwykle o tej godzinie... (jest coraz niespokojniejszy)

ŁANOWSKA (spojrzawszy na niego) Mnie się zdaje, że zrobię dobrze, zamykając okno. Zimno panu, pawda?

WÓJCICKI. Sam nie wiem, co mi jest.. Jeżeli pani łaskawa?

ŁANOWSKA. Tak, tak, trzeba zamknąć okno. (Zamyka).

WÓJCICKI (patrząc na jej usiłowania). Źle się domyka... Niech pani przyciśnie... do siebie... mocniej...

ŁANOWSKA. Uważam, że masz pan głos zmieniony.

WÓJCICKI. Tak... cokolwiek... jestem wzruszony.

ŁANOWSKA (zamknąwszy okno, odwraca się do niego).

WÓJCICKI. Pani łaskawa —

ŁANOWSKA No?

WÓJCICKI. Kto to taki?

ŁANOWSKA. Kto?

WÓJCICKI. A ta... dobra istota...

ŁANOWSKA (z udaną nieświadomością). Nie wiem o kim pan myślisz...

WÓJCICKI (z wzrastającem wzruszeniem i niepokojem) Ta, któraby za mnie chciała wyjść... Droga pani, proszę pani, — racz powiedzieć, kto to taki?... jestem gotów... Niech mi pani wierzy... Może będę mógł jutro ubrać się w anglez... Tak, tak, czuję, że będę mógł!... Pani raczy mnie przedstawić? Co tu zwlekać?... Jak panią szanuję!

ŁANOWSKA. Nie można tak nagle!...

WÓJCICKI (z gorączkową natarczywością). Im prędzej, tem lepiej, nich mi pani wierzy!... Pani się oświadczy w mojem imieniu... Weźmiemy ślub za indultem.. A potem wyjedziemy zaraz do Krynicy, albo do Żegiestowa, albo gdzie ona zechce... fundusze się znajdą!... (z uciechą dziecka). Przecież raz będę miał kogoś, co będzie o mnie dbał!...

ŁANOWSKA. To tak nie można: raz, dwa, trzy...

WÓJCICKI (z niepokojem). Czemu nie można, droga pani? Wszystko można, niech mi pani wierzy...

ŁANOWSKA. A pańskie zdrowie?

WÓJCICKI (z uśmiechem). He, he... moje zdrowie... Proszę pani (chodząc nierówno) Źle chodzę?... Czy nie?... (odwracając się do niej) No tak, jestem jeszcze odrobinę osłabiony... Ale się pani przekona, za tydzień, za dwa tygodnie, będę zdrów... zobaczy pani, będę wyglądał jak ćwik!...

ŁANOWSKA. Daj Boże!...

WÓJCICKI. Czerstwo!... rumianie!... zobaczy pani!...

JAN (wnosząc samowar). Proszę pana, samowar jest, jeno co cukru mało i zdaje mi się, że niewiele tam w puszce herbaty... (Stawia samowar koło pieca).

WÓJCICKI. Czemu Jan nie powiedział prędzej!

ŁANOWSKA. Niech się pan nie irytuje... Z domu przyniosę cukier, herbatę i co potrzeba.

WÓJCICKI. Ależ proszę pani!...

ŁANOWSKA. Sąsiedzka grzeczność... Odda mi pan jutro, albo pojutrze... Zaraz... (Bierze parasolkę i wychodzi).

WÓJCICKI (po jej wyjściu do siebie). Poczciwa kobieta!... (do dmuchającego w samowar służącego, gorączkowo) Janie!

JAN (j. w.) Co pan chce?

WÓJCICKI. Zostawcie ten samowar... To potem... (otwiera szafę) Gdzie tu moje frakowe ubranie?

JAN. A jest, tam, w tyle...

WÓJCICKI. Jest (wyjmuje frakowe ubranie) Macie!

JAN. (robiąc wielkie oczy)... Albo co?...

Dokończenie nastąpi.



EDGAR ALLAN POE.

SEN WE ŚNIE.

I.

Weź ten pocałunek na czole twojem złożony! I zanim cię opuszczę, wyznanie pozwól uczynić...

Ty się nie mylisz — o ty, co sądzisz, iż życie moje snem tylko było.

Lecz... czyż dlatego, iż nadzieja z nocy początkiem, czy też dnia świtem uleciała, zabierając wszystkie iluzje, czyż dlatego miałaby zniknąć nazawsze?...

Wszystko to, co widzimy, jak wszystko to, co czujemy, jest snem we śnie tylko.

II.

Chwyciłem się brzegu, o który wściekle biły bałwany, i wysoko ponad ryczącą wokoło mnie falę podniosłem rękę, unoszącą kilka ziarnek piasku — złotego piasku z wybrzeża. Tak mało!... Lecz i te jeszcze z dłoni się wysuwają... i lecą w przepaść otwartą, podczas gdy ja opłakuję każdą spadłą okruszynę podczas, gdy ja tak płaczę za niemi! — O Boże!... czyż silniejszem nawet ujęciem nie potrafiłbym ich zatrzymać? O Boże... Czy przed tą falą nienasyconą, ani jednego z nich nie uchowam?... O Boże...

Czyż wszystko to, co widzimy, jak wszystko to, co czujemy jest snem we śnie tylko?...

HELENA.

I.

Raz cię tylko widziałem... przed ilu to laty, ja nie wiem...

Lecz lat tych ubiegłych liczba już długą być musi.

W lipcu o północy to było. Księżyc w całej pełni się wznosząc, jak dusza twoja drogi swej po niebiesiech gdzieś szukał -- a przez sito drżących i srebrnych promieni sen i spokój przelewał na róż wzniesione kielichy, w zaczarowanym kwitnące ogrodzie!... I wiatru nawet powiew, wznieść się tam nie śmiał inaczej, jak duch, stopami ledwo dotykając ziemi.

Sen — i spokój przelewał się na róż wzniesione kielichy, co wzamian za księżycowych świateł pocałunki oddawały swe dusze — wonne swe dusze, umierając, pełne mistycznego zachwytu.

Sen — i spokój przelewał się, na róż wzniesione kielichy... co uśmiechnięte konały w tym ogrodzie, zaczarowanym przez ciebie — przez poezję twej obecności.

II.

Cała w biel obleczona spoczywałaś na ławce, a u stóp twych fjołkami były usiane murawy kobierce.

Ujrzałem cię wpół leżącą, z twarzą na dłoni opartą. A księżyc przez sito swoich promieni sen i spokój przelewał, na róż wzniesione kielichy, i na blade od smutków oblicze twoje...

III.

To losem zwie się zapewne, lub przeznaczeniem, a jest smutkiem zarazem, co zatrzymało mię wówczas przed kratą tego ogrodu, bym róż się upoił zapachem!...

I nic, żadnego zgoła poruszenia; wszystko spało w zaczarowanym tym świecie, wszystko w śnie pogrążone było, prócz mnie i ciebie!...

(Mój Boże! Mój Boże, jak dziś jeszcze serce mi bije, te dwa z sobą łącząc wyrazy: prócz mnie i ciebie!...)

I nieruchomy patrzyłem, choć nagle z przed oczu wszystko mi znikać poczęło...

(Wszak ogród zaczarowanym był tylko).

Zniknęły trawy kobierce, i mchów aksamit wilgotny, zniknęły ścieżki łukowe, z kwiatów tęcze, rozpłakały się drzewa cieniste, zniknęło wszystko — w objęciach wiatru róż nawet wonie skonały. Wszystko, wszystko, jak sen się rozwiało, wszystko — wyjąwszy ciebie!...

Wyjąwszy ducha twojego cząstki, co z źrenic li przezierał — z oczu, zgubionych w błękicie.

I nic już prócz oczu nie widziałem twoich, i świat się zamknął w tym wzroku...

I nic już prócz oczu nie widziałem twoich, i godzi godziny, płynąc, zostawiały mię pod czarem tego spojrzenia...

I nic już prócz oczu nie widziałem twoich, aż do chwili, gdy księżyca blaski zgasły opalowe...

O jakież dziwne opowieści serca w krysztale twych oczu czytałem!

Jaki smutek głęboki... i jaką wzniosłą nadzieję!...

Jaką czystość w milczącym oceanie dumy!

Jaką śmiałość pragnienia — i jakiej miłości potęgę!

IV.

A gdy zniknął miesiąca sierp srebrzysty, za perłowe uchodząc obłoki, co w swem wnętrzu piorun kryły drzemiący, i ty zniknęłaś wówczas. Jako widmo blaskiem poranku spłoszone, jak cień się rozwiałaś, jak ptak rozbłękitniałaś w przestrzeni! Tylko oczy twoje zostały! Oczy, co odejść nie chciały, co odejść nie mogły!

I od tej nocy, do wrót mego mieszkania drogę mi rozświeciwszy samotną, idą w ślad za mną, przez lat już tyle prowadząc! I na pozór podległe niewolnikiem czynią mnie swoim!...

Rozświecić i rozgrzać jest ich zadaniem. Ich światło zbawieniem staje się mojem. Ja się kryształę w ich blasku, oczyszczam w świętym płomieniu.

I dzięki tym gwiazdom, Piękność, która jest także Nadzieją, przepełnia jeszcze mą duszę.

Wysoko one świecą, te gwiazdy moje dalekie, przed któremi klękam wśród smutków nocy bezsennych ..

I pośród dziennych, słonecznych blasków je widzę, widzę je ciągle, te dwie słodko lśniące gwiazdy miłości... Słońce ich zgasić nie potrafi.. nigdy!

Tłumacz. I. Ra.

G. VERGA.

TYGRYSICA

Powieść.

(Przekład z włoskiego).

Ciąg dalszy.

I marzyła tak, marzyła z otwartemi oczyma, patrzącemi przed siebie w próżnię. Przeszłość była różową, jak te dalekie kraje, dokąd myśli jej biegły za Carlem. Nie było tam nic, prócz najsłodszych, najwonniejszych rozkoszy.

Jak dziecko mogła go nieraz słuchać całemi godzinami. Poprostu i w niewyszukanych słowach, ale w tonie prawdy opisywał jej wschód i zachód słońca na morzu, głęboki spokój, dalekie kraje, potężne, nakazujące szacunek burze, wzruszenia walki, krótkie, ostre komendy wśród ogłuszającego hałasu, walkę życia ze śmiercią, wzniosły szał walki i zwycięztwa, dumę ze sławy, honoru, ojczyzny i sztandaru.

Słuchała z zapartym oddechem, czuła, jak ściskało się jej serce i gwałtownie rozszerzało, sto razy zmieniała barwę cery, a oko jej jak zaklęte spoczywało na nim i nie mogła

go się dosyć napodziwiać. Potem czuła ogromną pokusę rzucić mu się w ramiona i nie pozwolić mu odjechać nigdy, nigdy. Serce jej przepełniało się, sądziła, że się dusi, i... pewnego razu, wybuchnęła łzami.

— Co ci jest? — zapytał Carlo zdumiony, przerywając opowiadanie.

— Nic... sprawiasz mi przykrość... boję się.

Spojrzał na nią uważnie. Erminja, zwykle tak blada, zarumieniła się jak mak i zbladła potem znowu. Drżąc lekko ujął jej rękę, nie mając odwagi spojrzeć jej w oczy, a ona ukryła twarz w dłoniach.

— Teraz ty mnie sprawiasz przykrość — rzekł cicho, po chwili milczenia. — Miejże choć trochę litości nademną.

Erminja podniosła na niego oczy pełne łez. I w jego oczach dostrzegła łzy, i on położył czoło na dłoni.

— Muszę mieć odwagę odjechania — rzekł po ponownem, przykrem milczeniu. — Rozumiesz mnie?.. Muszę mieć tę odwagę.

Więcej nie mówili nic. W przedpokoju dały się słyszeć kroki Giorgia. Drżąc powstała Erminja i wyszła z pokoju; kuzyn chwycił kapelusz i odszedł szybko.

*

Jak obcy; z wyrazem zakłopotania, którego nawet nie mogła pokryć zwykła jego swoboda, wszedł Giorgio do pokoju żony. I on od niejakiegoś czasu był blady i ukrywał swój ból z mękką siłą, której się po nim nie było można spodziewać. Jednem z najgorszych cierpień, jakie odczuwał, była męka, jaką mu sprawiało, gdy musiał pół godziny znajdować się oko w oko z żoną i słuchać jej spokojnego głosu. Pokój jej miał na sobie także piętno spokoju, powietrze, które go napełniało, było czyste i świeże, a stojące w nim białe łóżko, niebieska kołyska i bardzo skromne meble miały na sobie coś, co zdawało się należeć do wyższego świata.

Gdy Giorgio tam wchodził, zdawało mu się zawsze, iż wchodzi do kościoła, a w jego zachowaniu się względem żony, której cierpienia i wstręt do siebie instynktownie przeczuwał, spoczywała uczciwa, uprzejma grzeczność, posiadająca jednak pozory lodowatego chłodu.

W tym wielkim, cichym i spokojnym pokoju, owładało nim jakieś dobroczynne uczucie; zdawało mu się, że krew mu żywiej w żyłach krąży, a ponury, zapowiadający nieszczęście obraz skazanej na śmierć, którą kochał miłością przerażającą nawet jego samego, nie miał odwagi iść aż tam za nim. Tam wypoczywał i gdyby się był mógł odważyć, prosiłby, żonę, aby mu pozwoliła wyspać się w wielkim fotelu w nogach łóżka, raz przynajmniej bez ponurych snów. Wielki szacunek i głęboka wdzięczność napełniały mu serce dla matki jego syna, którą był zmuszony traktować w ten sposób i dla kobiety, która tak bez plamy nosiła jego imię. Podziwiał ją, jak istotę wyższą, a uważał za rzecz niemożliwą, aby taka czystość, taki spokój duszy mógł być naruszony, aby te same namiętności, z któremi walczył tak gwałtownie, mogły zdobyć i to czyste sumienie, tę niewzruszoną i wzniosłą uczciwość.

Raz jednak, gdy zobaczył kuzyna i żonę siedzących obok siebie, jak błyskawica strzeliła mu pewna myśl do głowy i poczuł jakieś ukłucie w sercu...

Rozdział XVI.

Od tej chwili patrzył Giorgio na żonę zupełnie innemi oczyma. Co dnia odkrywał w niej jakiś nowy wdzięk, przysłonięty i ukryty, powiedziałbym, ale bardzo silny: w jej wilgotnych oczach, w czułym tonie jej głosu, w pokornej postawie, w tem sercu, które mogło odczuwać podmuch tej samej burzy, jaka jego samego pożerała. Te przymioty czyniły ją jeszcze wdzięczniejszą w jego oczach i czuł, że gdyby nie był jej mężem, czar tego czystego, naiwnego i lękliwego wdzięku byłby rozpalił do szaleństwa żądzę jego, przesyconego i sztuczkami kobiecej kokieterji znudzonego uwodziciela. Wzburzony i wzburzający obraz tej drugiej, z gruntu innej, dalekiej postaci, rozpływał się w mgle i niknął powoli.

Szczególna rzecz, że ten człowiek kochał dopiero teraz tę kobietę z tą samą gwałtownością, która go prowadziła na wszystkie bezdroża namiętności i to właśnie w chwili, gdy zaczął spostrzegać, że inny, tak samo jak on, ale jednak przeciwnie, dał się porywać tej pokornej i domowej cnocie, w której teraz, jak to czuł nieświadomie, widział źródło pokoju i szczęścia swego życia.

W przedpokoju spotkał się z Carlem, który go zaledwie pozdrowił i zdawał go się unikać. Erminję znalazł bladą i ze śladami łez.

Nikt nie może opisać, co ten człowiek wycierpiał przez pół godziny spędzonej przy żonie, która ukrywała przed nim swoje łzy, zamykała serce i nie należała już więcej do niego; on, który miał w gruncie rzeczy tyle poczucia delikatności, on który był uraźliwym aż do drażliwości, delikatnym aż do dumy.

— Co mówił doktor dzisiaj o Jasiu? — zapytał.

— Że mu jest lepiej, daleko lepiej.

— A jakże tobie jest?

— Dobrze.

— Jesteś jednak z dnia na dzień bledszą. Czy nie byłoby wskazanem zapytać się o radę Reudony?

— A to poco? Nic mi nie jest... — odparła krótko.

— Potrzebujesz wytchnienia... jeżeli chcesz, możebyśmy pojechali na wieś... do Tremestieri... — dodał śpiesznie.

— Jak chcesz.

— Nie pragnę niczego więcej, jak tylko tego, co ty znosisz.

— I ty wydajesz się być niezdrów — rzekła z wahaniem. — Jeżeli chcesz, abyśmy pojechali...

Oczy ich spotkały się przypadkowo po raz pierwszy, a on szybko odwrócił swoje, ponieważ czuł, że w nich zdradza się jego serce.

— Mnie nic nie brakuje i o mnie tu nie chodzi — odparł, pokonując nieokreślone wzruszenie i wzruszając ramionami. Pomów z Reudoną, a gdy się porozumiecie, co się ma stać, zawiadom mnie o tam.

Zaledwie wyszedł od Erminji, zamknął się pod pozorem jakiegoś naglego interesu w swoim pokoju, a przez cały wieczór słyszano jego gorączkowe kroki, mierzące gabinet wszerz i wzdłuż, jak owego dnia, gdy zastał dziecko tak bardzo chore.

Erminja zapadła w głęboką zadumę i leżała nieruchoma na kanapie, jak ją zostawił mąż, od czasu do czasu spływały jej jednak po policzkach łzy.

Wieczorem przyszła pani Ruscaglia, tym razem bez swego oficera.

— Wiesz już o tej ładnej nowinie? — zapytała córkę. — Carlo otrymał rozkaz, aby w przeciągu trzech dni znalazł się na swoim okręcie w Genui, zkąd popłynie do Rzeczypospolitej argentyńskiej, albo do Paraguayu albo też gdzieś tam, słowem do jakiegoś brzydkiego kraju w Ameryce południowej, gdzie się zabijają między sobą jak wściekłe psy, a jeżeli ta kara boża jeszcze nie wystarcza, to biedni chrześcjanie będą tam marli jak muchy na żółtą febrę. Chciałabym wiedzieć, czy to się nazywa przyzwoitem traktowaniem ludzi! I właśnie teraz, gdy ten biedny chłopiec tak

bardzo potrzebuje wypoczynku! Zauważyłaś już zapewne, jak wychudł i jaki mizerny. Co dwa lata dają mu nędzne dwa miesiące urlopu i jakby to jeszcze było za wiele, obcinają mu jeszcze kilka tygodni — prosta lichwa! To woła o pomstę do nieba, to poprostu złodziejstwo! To też powiedziałam panu porucznikowi, aby im z podziękowaniem złożył u stóp swą złotem obszytą czapkę i przeszedł w dobrze zasłużony stan spoczynku. Chleba takiemu dzielnemu człowiekowi jak on w każdym razie nie zabraknie.

— A dlaczego nie przyszedł? — zapytała wreszcie Erminja, która słuchała dotychczas słów matki z zapartym oddechem.

— Nie wiem. Ma przecież do przeżuwania tę miłą depeszę! Musi się podać do dymisji! To najlepsza rzecz, jaką może zrobić, jeżeli usłucha mojej rady, a znajduję się przecież w wieku, w którym człowiek ma pewne wyrobione zdanie.

Erminja nie mówiła nic więcej, a gdy matka zapytała się jej przed wyjściem jak się czuje, odparła, że bardzo dobrze; jednakowoż gdy kładła się do łóżka, miała gorączkę. Mamka Jasia, która spała w przyległym pokoju, słyszała, jak wzdychała przez całą noc i jęczała przez sen.

*

Nazajutrz przyszedł Carlo z ciotką. Na twarzy Erminji nie było żadnych śladów cierpienia, była co prawda trochę mizerna, ale wyglądała tak już od dłuższego czasu. Na powitanie i uścisk dłoni Carla odparła jak zwykle i wzięła również udział w rozmowie. I Carlo był jak zwykle, raz jednak, gdy babka pieściła się z wnuczkiem, spotkał się jego wzrok z wzrokiem Erminji i oboje zbledli.

— Musi się podać do dymisji — powtarzała ciotka, powracając do swej ulubionej myśli — to moja rada. Jeżeli ci panowie tak go traktują, musi wziąć dymisję, a wtedy zobaczą, że oficerowie, którzy, aby im sprawić przyjemność, pluskają się przez czternaście godzin w morzu nie wyrastają na płotach.

— Odjeżdżasz? — zapytała Erminja, nie patrząc na niego.

— Tak... — odparł w ten sam sposób, ale nie mógł mówić dalej, ponieważ coś go dławiło.

— Tak, jeżeli jest głupi, to pojedzie... ale jeżeli usłucha mojej rady, to zobaczy, że ci panowie, którzy rozsyłają swoje rozkazy o tysiące mil, wkrótce zaczną go prosić!.. I właśnie teraz, gdy trochę ojczystego powietrza tak dobrze by mu zrobiło! Spojrz tylko na niego, czy z tą twarzą wygląda na to, aby mu stan jego zdrowia pozwalał walczyć tam z żółtą febrą i innemi chorobami!... Pozwólcie mi tylko działać. Pomówię z zięciem. Ma tylu przyjaciół w ministerstwie, że znajdzie jakiś punkt wyjścia.

— Nie! — zawołał Carlo żywo, gdy Erminja przy ostatnich słowach matki podniosła głowę — nie, ciotko, to niepotrzebne, nie!

— Będziesz łaskaw zrobić to, czego chcą ci, którzy mają więcej rozwagi, niż ty — odparła ciotka tonem, który nie pozwalał na opór — nie imponujesz mi wcale swoimi galonami i usłuchasz twej ciotki, jak wtedy, gdy byłeś małym. Teraz jednak muszę iść do Giorgia

Gdy pozostali sami, spojrzeli raz jeszcze na siebie, a potem oboje spuścili oczy jednocześnie.

— Kiedy odjeżdżasz? — zapytała wreszcie Erminja zaledwie dosłyszalnie.

— W sobotę.

— Przyjdziesz jeszcze?

— Tak...

— Co dnia będziesz?

— Tak, co dnia... pozostały jeszcze przecież dwa tylko.

— Bądź zdrów! — szepnęła zamierając, po krótkiej chwili milczenia, i podała mu nagle rękę. — Może ci nie będę mogła raz jeszcze tak powiedzieć jak teraz... bądź zdrów!

Powoli, powoli, zaczęły się jej łzy toczyć po policzkach, a nie starała się nawet ukryć ich.

W tej chwili weszła tryumfująca pani Ruscaglia.

— No, nie powiedziałam zaraz? Na to nie mogliśmy przecież pozwolić. Giorgio powiada, że to drobnostka zażądać urlopu jeszcze na cztery miesiące ze względu na stan zdrowia .. on to bierze na siebie i ty nie pojedziesz!

Erminja, która stała przy kuzynie, odsunęła się od niego po tych słowach niezwykle szybko i silnie zarumieniona; zdawało się, że podczas reszty jego pobytu jest bardzo zakłopotaną, a biedny chłopiec, jak prawdziwy chłopiec, nie mógł ukryć swej radości.

— A zatem do widzenia! — rzekł, odchodząc, a Erminja podała mu rękę, nie mówiąc ani słowa.

*

Dla Giorgia prośba teściowej była bolesnym ciosem, a jednak w swej szlachetności oświadczył gotowość zadowolenia jej. Nieośmielał się podejrzewać żony albo też wyrzucać jej ten gorączkowy niepokój, jaki ją pożerał od pewnego czasu, a który biedna ofiara ukrywała z zaparciem się męczennicy. Obawiał się namiętności, jakie uważał za niepokonane, ponieważ zaczął teraz kochać swoją żonę inaczej, teraz, gdy jej serce znajdowało się w niebezpieczeństwie.

Przebył przykry dzień. Wieczorem znalazł Erminję bardzo słabą i spostrzegł, że biedaczka czyni nadludzkie wysiłki, aby ukryć swój stan. Gorączka, która od tygodnia powracała co dzień wieczorem, stała się bardzo gwałtowną, mimo tego jednak, nie kładła się do łóżka i starała się przy świetle lampy zająć haftowaniem, przyczem ręce jej drżały, a oczy paliły ją pomimo umbrelki.

— Ależ ty cierpisz okropnie! — zawołał jej mąż przerażony. — Jesteś chora, bardzo chora, każę natychmiast zawołać Reudony.

— Ale poco?... Zapewniam cię, iż nie czuję się tak bardzo chorą. Będzie to tylko zapewne przelotna niedyspozycja.

Giorgio wyciągnął rękę, aby ująć jej dłoń, nie odważył się jednak.

— Erminjo — rzekł tonem, jakiego oddawna nie słyszała — nie masz prawa stawiać życia tak na kartę... Pomyśl o twoim synu, pozwól mi dla niego...

Nie miał odwagi mówić o sobie samym. Zdumiona podniosła powoli głowę, a Giorgio opuścił swoją.

— Zaczekaj do jutra — odparła nareszcie po pewnem wahaniu — Zobaczymy, jak będzie jutro.

— Jak chcesz — odparł Giorgio, powstając.

O kuzynie nie mówił ani słowa, ale zdawał się być niezdecydowany i pozostał długo, nim wyszedł, dłużej jak zwykle, i przyglądał się jej białym rękom, pochylonej nad haftem białej wychudłej twarzy w cieniu umbrelki, pięknej szyi, którą złociło światło, znacząc na niej cienie delikatnych loczków, sukni, która w bogatych fałdach spływała na dywan i pięknym, w gorączce błyszczącym oczom. Z tęsknotą patrzył na puste miejsce obok niej na kanapie, którego on, mąż, nie śmiał zająć, na oparcie po za jej plecami, na którem tak

chętnie położyłby swoje ramię. A potem, jakaś mgła przysłoniła mu oczy. Wyszedł szybko.

*

— Czy pani posyłała po doktora? — zapytał nazajutrz służącego.

— Nie, proszę pana.

— Dobrze. Możesz odejść.

I znowu zaczął chodzić po swoim pokoju. Kilka razy miał zamiar pójść do Erminji, ale nie doszedł nawet do drzwi. Zdawało się, iż noc spędził źle i był blady i zgryziony. Głuchy nieokreślony gniew, napełniający go wstydem, burzył się w nim. Nareszcie przystąpił do biurka i spojrzał na zegarek, jakby oczekiwał jakiejś stanowczej godziny.

Rozdział XVII.

I Erminja nie spała także i wstała znużona i słaba. Zdawała się być niespokojną, gdyż ręce jej drżały przy robótce. Gdy zadzwoniono około pierwszej, pochyliła głowę nad haftem, zarumieniła się i zbladła jeszcze więcej niż kiedykolwiek.

Po pierwszem przywitaniu, kuzyn i kuzynka zamilkli na chwilę, nie będąc w stanie opanować nieokreślonego zakłopotania, podczas gdy Erminja z gorączkową szybkością przesuwała igłę w materji.

— Carlo — zapytała nareszcie, nie podnosząc oczu — co postanowiłeś uczynić?

Lękliwy ton jej głosu nie uszedł uwagi oficera.

— Nie wiem — odparł z wahaniem i pocichu

— Musisz odjechać... mama, widzisz, mówi tak tylko... ponieważ my kobiety na tych rzeczach się nie rozumiemy... Jeżeli usłuchasz jej rady, zepsujesz sobie karjerę... a to byłaby szkoda... musisz odjechać...

— Chcesz tego? — zapytał zaledwie dosłyszalnie.

— Musisz wypełnić swój obowiązek — rzekła blada i z wytrzeszczonemi oczyma — wszyscy musimy wypełnić nasz obowiązek, Carlo...

— Odjadę — odparł oficer, pochylając głowę — odjadę dziś jeszcze wieczornym pociągiem, powtórzył po chwili.

Haftowała ciągle jeszcze z pochyloną głową, a gorące łzy padały jedna po drugiej na jej drżące ręce. Nagle wyciągnęła do niego te wykąpane we łzach ręce i tak, nie mówiąc ani słowa, stali naprzeciw siebie.

— Addio! — rzekł nareszcie. — Addio! Wypełnię mój obowiązek...

— Addio!... — szepnęła Erminja i padła na kanapę.

*

Zawołano śpiesznie doktora Reudonę. Pani Ruscaglia, która wśród jęków i łez odprowadziła siostrzeńca na dworzec, przybiegła przerażona; Erminja miała silną gorączkę i mówiła od rzeczy. Choroba była tem niebezpieczniejsza, że tak długo nie zwracano na nią uwagi i wystąpiła teraz z gwałtownością, która nie zdawała się nawet pozostawiac czasu do jej zwalczenia. Reudona w jednej chwili postawił cały dom na nogach i zażądał przywołania jeszcze dwóch lekarzy na *consilium*. La Ferlita chodził jak lunatyk i słuchał, co mówili doktorzy, przesuwając od czasu do czasu ręką po czole i oczyma śledził poruszenia ludzi, zajętych w pokoju chorej.

— Co myślisz o tym wypadku? — zapytał Reudony, wróciwszy z nim do salonu.

— Hm, co ci mam powiedzieć? — odparł lekarz, wzruszając ramionami. Zobaczymy jutro, czy gorączka spadnie.

Giorgio drgnął i padł na krzesło, jakby mu nogi wymówiły posłuszeństwo.

Około północy nadszedł telegram z Aci Reale dla Reudony.

— Odpowiedzcie, że nie mogę przyjechać — zawołał lekarz, przeczytawszy go. — Telegrafujcie! — a Giorgio słyszał to, nie rozumiejąc nic.

Przez całą noc siedział przy łóżku chorej i zdawał się być śmiertelniej trafiony, niż jego żona.

*

Nazajutrz gorączka zmniejszyła się cokolwiek. majaczenie ustało, ale choroba była wciąż jeszcze poważną.

— Co mówią? — zapytał La Ferlita, skoro poszli inni lekarze.

— Nic nowego, ale przynajmniej nie jest gorzej — odparł Reudona.

— Uratowana? — zapytał Giorgio.

— Nie... tego nie powiedziałem... to przyjdzie...

Przez cały dzień przychodzili i wychodzili lekarze, znajomi, którzy przy drzwiach dowiadywali się o zdrowie, przyjaciółki, które przychodziły, aby poszeptać między sobą kilka słów w salonie i poszeleścić trenami od sukien.

Powoli i smutnie zapadał wieczór, ciepły, duszny wieczór letni. Zapalono światła, a turkot powozów teraz, gdy umilkł inny hałas, był silniejszy i bliższy. Na ciemnym horyzoncie zaczęły błyszczeć gwiazdy, ukazując się wśród nieruchomych firanek przy otwartych oknach i powoli czerwonawo żółte światło latarni gazowych zaczęło rzucać swój blask na mury domów i wypierało coraz więcej niepewne światło zmroku.

Zwykłe szmery wieczora następowały jeden po drugim, a do ciemnego i pogrążonego w ciszy pokoju chorej dochodziły odgłosy ostrożnych kroków, które słyszano przez cały dzień, a które nie ośmielały się zbliżyć do drzwi.

Często słyszano lękliwe i nieśmiałe dzwonienie w przedpokoju i od czasu do czasu głos biednego Jasia, który w przyległym pokoju krzyczał na ręku mamki...

Godziny od zachodu słońca do północy zdawały się trwać wiecznie.

Chora nie majaczyła więcej. Nieruchoma leżała, głową odwróconą do okna, z zamkniętemi oczyma, które od czasu do czasu otwierała z trudnością; słyszano jej nieregularny, ciężki oddech.

*

Około północy oświadczył Reudona, który ze znużenia zaledwie mógł się utrzymać na nogach, że chce trochę spocząć, ponieważ stan chorej pozwala na to w tej chwili, a i pani Ruscaglia, podobna raczej do umarłej niż do żywej, cofnęła się.

— Idź i ty przespać się z półgodziny — rzekł lekarz do Giorgia, kładąc mu rękę na ramieniu.

Giorgio wstrząsnął głową i nie ruszył się z fotelu przy łóżku.

— Ależ Giulietta może to samo zrobić co ty, a nawet lepiej. Możesz przyjść o drugiej lub o trzeciej i zluzować ją.

— Nie — odparł Giorgio głosem, ochrypłym od rana.

Na wszystkie namowy odpowiadał ciągle:

— Nie potrzeba. nie jestem zmęczony.

Reudona w końcu zostawił go w spokoju.

*

Zmęczony coprawda La Ferlita nie był, ale za to złamany. Nerwy jego ściągały się boleśnie, miał uczucie, jakby głowa jego wciśnięta była w jakąś olbrzymią prasę; turkot ostatnich powozów i kroki tych niewielu ludzi, którzy jeszcze

przechodzili, budziły w jego mózgu echo sprawiające mu ból, a upał nocy czerwcowej nużył go.

Ciężkiem oszołomieniem jego umysłu była bolesna mieszanina przeszłości i teraźniejszości, burzliwych wydarzeń jego młodości i wspomnień o najdalszych i najnieznaczniejszych wypadkach.

Nata, jego synek, Erminja, kościółek w Tremessteri, wyraz twarzy Reudony gdy mówił: „to przyjdzie", Carlo, żeglujący po morzu, pociąg, pędzący do Aci Reale: wszystko to wykonywało jakiś dziki taniec czarownic w jego mózgu.

Jasno i wyraźnie jednak występowała z tego chaosu postać chorej, tak, jak ją widział w tej chwili, z twarzą odwróconą do okna.

Znowu i znowu biegły myśli jego tą samą drogą od willi Principe Amadeo do kościółka w Tremestieri i czepiały się wreszcie tego białego łóżka, na które umbrelka rzucała swe cienie.

Powoli, z tego ciemnego otoczenia występowała postać Erminji w niewyraźnych zarysach, gubiących się w fałdach sufitu. Przed jego wzrokiem postać ta przyoblekała się w ciemną szatę, której miękkie fałdy spływały z kanapy na dywan, jak to nieraz widywał, w tem samem świetle, które złociło białą szyję i znaczyło na niej delikatne cienie loczków, jak wzory.

Teraz przyszedł Carlo i usiadł powoli i bez szelestu między nim a Erminją.

Przypomniał sobie tę inną, daleką kobietę. Stanęła przed jego oczyma tak, jak ją widział w hotelowym pokoju, z rozpostartemi ramionami i oczyma upiora — było to widmo, które co chwila występowało niespodzianie z ciemności, groźne i surowe, a wydawało mu się, że musi ciągle patrzyć na nic zdumiony, nie czując nic w sercu.

Potem zdumione jego spojrzenia biegły po znanych ścianach, jakie go otaczały; zatrzymywały się na każdym sprzęcie, na dywanie w wielkie kwiaty, na nieruchomych w szerokie pasy wschodnich portjerach, na obitej materją kanapie. Wydawało mu się, jakby te domowe ściany zbliżały się do niego i, rzec można, ściskały go, aby go ochronić i obronić.

Zegar powoli wybijał godzinę za godziną tonem, który mu również był znany, potem odpowiadał zegar pobliskiego kościoła, potem inne w milczeniu nocy, a te ledwie brzmiące dźwięki mięszały się z sobą. Przypominał je sobie wszystkie, a wywoływały one pamięć o innych godzinach, przebytych w tym samym pokoju. Z dziwną jasnością dźwięki te stawiały mu przed oczyma zarysy i okoliczności innych wydarzeń, o których sądził, że już zapomniał. Wtedy przeszły może niepostrzeżenie, teraz jednak, ukazując się we mgle przeszłości, były idealnem, słodkiem, a jednocześnie gorzkiem i smutnem wspomnieniem.

Były to godziny, gdy razem z Erminją siedział na tej samej kanapie, podczas gdy ona haftowała — tego wieczora, gdy nie poszli na bal, a ona swą zgrabną suknią wypełniła cały fotel — godziny poufnych, pełnych miłości rozmów we dwoje, w owym czasie, gdy sobie mówili jeszcze wszystko, gdy spojrzenia ich nie były jeszcze zafrasowane, gdy nie było jeszcze gorączki, niepokoju, dalekich, wymagających, zazdrosnych, nieuniknionych upiorów, a spokój tej komnaty nie był jeszcze zamącony. Wtedy roili jeszcze plany i pełni ufności mówili o dniach przyszłych, o Jasiu, o pobyciu na wsi...

Teraz, gdy ten miniony czas widział we wszystkich tęczowych barwach swego ideału, zasępił Giorgio swe znużone myśli z całą siłą człowieka, pragnącego spokoju. A gdy teraźniejszość występowała przed nim bezpośrednio i nieubłaganie w obrazie Erminji, leżącej nieruchomo i oddychającej ciężko, to zdumiewała go. Patrząc na Erminję, starał się odgadnąć, jakie walki ona odbywała, zanim się od niego oddaliła. Badał jej rysy, które w cieniu, podobnie jak u sfinksa, zdawały się co chwila zmieniać wyraz, aby się dowiedzieć, jaką namiętność odkryje mu majaczenie.

Monotonnie i obojętnie wydzwaniały zegary w długich przestankach godziny.

Nad ranem chora zaczęła być niespokojną. Giorgio śledził jej poruszenia lękliwem okiem i z zapartym oddechem.

Nagle zauważył, że Erminja otworzyła oczy i od kilku minut patrzyła na niego uporczywie. Powstał i stanął naprzeciw niej. Oczy te spoglądały na niego z takim głębokim wyrazem i z taką uporczywością, że wywabiły z niego pierwsze słowa:

— Czego sobie życzysz?

(Dokończenie nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

Wykłady o Mickiewiczu w „College de France" w Paryżu wkrótce się rozpoczną. Donosi o tem p. Stanisławowi Bełzie w Warszawie profesor literatur słowiańskich w tem kolegjum, Leger. Oto słowa jego listu: „Zajmuję się w tej chwili bardzo waszym krajem, mam bowiem wykładać w kolegjum francuskiem o poezjach Adama Mickiewicza".

Znana śpiewaczka naszej publiczności panna Eugenia Strassernówna, sopranistka operowa, śpiewać będzie w Charkowie.

Nowe książki. „Niemcy o Niemcach" studjum Stanisława Piotrowskiego Warszawa 1898. — P. Hieronim Cohn wydał i złożył na półkach księgarskich studjum Artura Schopenhauera p. t. „Miłość" w tłumaczeniu A. W.

Życie, tygodnik literacki ilustrowany, przeszedł pod redakcję znanego zaszczytnie pisarza Stanisława Przybyszewskiego.

Z prasy. W Warszawie z dniem 1. listopada b. r. rozpocznie na nowo wychodzić: „Kronika rodzinna", która po śmierci ś. p. Aleksandry z Chomętowskich Borkowskiej, wychodzić przestała. Redakcję „Kroniki" objęła hr. Cecylja Plater-Zyberk.

Przekład. Księgarnia Johansona w Kijowie i Charkowie ogłosiła prenumeratę na wszystkie dzieła Bolesława Prusa w tłómaczeniu rosyjskiem W. J. Manockiego. Do zbioru wejdą wszystkie opowiadania i nowele, oraz trzy powieści: „Lalka", „Emancypantki" i „Faraon".

Treść: Kazimierz Gliński — *Żal* (Wiersz); Fr. Zwilkoński — *Lampa zgasła* (c. d.); Edgar Allan Poe — *Sen we śnie*; *Helena*; G. Verga — *Tygrysica* (Powieść — c. d.); *Wiadomości artystyczne i literackie.*